

2090

1857-1930

KAROL APPEL

Członek Towarzystwa Naukowego Warszawskiego
i Komisji językowej Akademii Umiejętności w Krakowie.

O ISTOCIE ZJAWISK JĘZYKOWYCH

WYKŁAD

z powodu dzieła LE DANTEC „Philosophie du XX siècle”
(1908).

Warszawskie
Towarzystwo Filozoficzne

Nr 2257

Odbitka z „Wychowania”.

WARSZAWA

Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8

1909.

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFiS PAN i PTF

T.2090



29002090000000



dr. inw. 2257

*Stanisławowi Janowi Redaktorowi
„Gazety Filozoficznej”,
Dr. Władysławowi Weryśce
w dowód pamięci*

O istocie zjawisk językowych.¹⁾

autor

16/VI 1909

Od pierwszych wystąpień moich na polu naukowym w dziedzinie językoznawstwa, ogólne, zasadnicze zagadnienia nauki miały dla mnie szczególny powab, budziły moje zaniepokojenie. To, co zajmowało mnie w poszczególnych zjawiskach badanych języków, to była ich istota: geneptyczny związek faktów, ich psychiczny mechanizm. Słusznie też prof. J. Baudouin de Courtenay, któremu tyle zawdzięczam w swoim wykształceniu lingwistycznym, zarzucał pierwszym rozprawom moim, że tytuły ich mówią za mało, że prace te powinnyby nosić nagłówki: „kilka uwag ogólnych o rozwoju języka i t. d. z powodu materiałów zebranych i t. d.”²⁾. I rzeczywiście taki przeważnie charakter miały późniejsze moje prace. W tem poszukiwaniu ogólnych warunków zjawisk językowych, i c h r o z w o j u przewodnią nia była dla mnie system filozofii Herberta Spencera. Długo czas nosiłem się z myślą napisania rozprawy na ten temat. W każdym razie zasadnicze prawo ewolucyi, tak jak je formułuje H. Spencer, uderzająco nadawało się do ujęcia rozwoju zjawisk językowych w ich nieskończoności i ciągłości... Wszyscy mamy w pamięci to prawo ewolucyi H. Spencera³⁾, jedno z najszerszych uogólnień, jakie umysł ludzki zdołał osiągnąć, ażeby wyrazić ten ciągły proces integracyi zjawisk, ich całkowania i dez-

¹⁾ Według wykładów, wygłoszonych w Stowarzyszeniu Nauczycielstwa Polskiego i w Towarzystwie Naukowym Warszawskiem.

²⁾ Ob. przypiski bibliograficzne.

integracji, różniczkowania, proces obejmujący wszechświat we wszystkich jego objawach, nie wyłączając i samej nauki, która, bodaj czy nie najjaskrawiej, uwidocznia właśnie tę nieustającą alternację ewolucyi i dyssolucyi, rozwoju i rozstroju.

Z tych dwu współrzędnych czynników, całkowania i różniczkowania, uwagę badaczy pochłaniał przedewszystkiem czynnik pierwszy, t. j. proces integracji. Dezintegracją zajmowano się stosunkowo mało. Proszę porównać tę olbrzymią bibliotekę traktatów o *assocjacji* w psychologii z temi nielicznymi monografiami o *dyssojacji* i zjawisk psychicznych ⁴⁾, te stosy prac, które lingwiści poświęcili rejestrowaniu faktów asymilacji w fonetyce, analogii, czyli przystosowaniu się form gramatycznych do pewnych typów w morfologii, obok 'rzadkich, prawie wyjątkowych prób zbadania procesu *dysymilacji* dźwięków ⁵⁾ lub wypadków *różniczkowania* (dyferencyacji) form gramatycznych. A w sferze ogólnych zagadnień filozoficznych proszę np. wziąć książkę André Lalande'a „*La dissolution opposée à l'évolution*” ⁶⁾, gdzie to zapatrzenie się świata naukowego na integrację i niedocenia nie dezintegracji jest tak dobrze uwydatnione.

Otóż muszę zaznaczyć, że mnie osobiście w procesach językowych (i psychicznych wogóle) zajmowała właśnie najwięcej ta druga strona zjawiska, *dezintegracja*, różniczkowanie i rozstrój. Naturalnie, w każdym skomplikowanym zjawisku, cokolwiekbyśmy wzięli pod uwagę—czyto zagadnienie mechaniki, czy proces chemiczny, czy objawy życiowe, czy fakty społeczne lub psychiczne, wszędzie i zawsze to, co z jednej strony jest całkowaniem, *synteza*, nowem ugrupowaniem danych czynników, z drugiej strony, pod innym kątem widzenia, przedstawi nam się jako *analiza*, rozcłódkowanie poprzednich ugrupowań jednostek. Atomy, które weszły w skład nowego ciała, oddzieliły się przedtem od substancyi, do której należały. W społeczeństwie każdy osobnik, wstępując do innej grupy społecznej, odrywa się od dawniejszej, z którą się solidaryzował przedtem i t. d. W psychologii każde nowe

skojarzenie, assocyacja, przypuszcza w danej chwili częściowy rozstrój, dyssoyację innych konstelacji psychicznych. Toż samo w zakresie języka. Jest to nawet szczególnie wdzięczne pole do spostrzeżeń i wniosków w tym kierunku. W historii języków stale widzimy stopniowe ujednostajnienie w harmonijną, symetryczną całość różnorodnych systemów deklinacji i konjugacji, i proces ten zawarunkowany jest zawsze współrzednem wyłanianiem się nowych różniczkowań, nowych kategorii językowych.

Z niezmiernie skomplikowanego i subtelnego gmachu deklinacji łacińskiej w łacinie ludowej, używanej przez Gallów, zostały zaledwie szczątki. Przodkowie dzisiejszych Francuzów w średniowieczu rozróżniali już tylko dwa przypadki (podmiot i przedmiot) zamiast sześciu, kilka typów (wzory) odmian zamiast kilkudziesięciu, a i z tego uproszczonego systemu, gdzie różnice przypadków koincydowały jeszcze niekiedy z różnicami liczb, wyłonił się ostatecznie dzisiejszy system, oparty na jedności (integracji) przypadków i różniczkowaniu (dezintegracji) liczb. W zastosowaniu do deklinacji polszczyzny i innych języków słowiańskich starałem się już przed 30 laty tę zasadę współdziałania analogii i dyferencyacji (całkowania i różniczkowania) wykazać na szeregu przykładów.

Ale w miarę, jak rozszerzałem zakres swoich studyów lingwistycznych, w miarę, jak głębiej zastanawiałem się nad zjawiskami językowymi, uświadamiałem sobie stopniowo, że w zjawiskach tych jest coś jeszcze, czego formuła ewolucyjna H. Spencera nie ujmuje należycie. Dręczyła mnie mianowicie ta ciągła sprzeczność wniosków, do jakich doprowadza badanie języka. Język nie jest czemś istniejącem samo przez się, powiadały sobie, jest on raczej ciągle wznawianym procesem „mówienia”.—Dobrze, a przecież język narodowy nie jest mitem, lecz „rzeczywistością”, z którą inne „rzeczywistości” często uporać się nie mogą... Dźwięk mowy jako taki obiektywnie nie istnieje, jest wytworem naszej duszy, subiektywnem wrażeniem; wiemy o tem,

ale my, lingwiści, badamy go właśnie jako rzeczywistość... Badamy wyrazy języka w różnych ich postaciach i pytamy siebie: czy wyraz istnieje w formie gramatycznej, czy forma gramatyczna w wyrazie? Co jest rzeczywistością w języku: wyraz, czy zdanie? i t. d. bez końca... Część tych dręczących zagadnień sformułował już w postaci szeregu „tez” i „antytez” niedawno zmarły lingwista francuski Victor Henry w rozprawce: „Antinomies linguistiques” ¹⁾. Ale tę pracę trzeba podjąć na nowo w innem oświeceniu. Pochop do tego daje mi właśnie świeżo wydana książka prof. biologii w Sorbonie F. le Dantec p. t. „Science et conscience”. Znakomity biolog francuski wywczasys swe, poza pracą zawodową w laboratorium, poświęca filozofii. Wydał on już długi szereg dzieł filozoficznych, oryginalnych treścią, ujmujących formą, które zjednały mu szerokie koło czytelników. Ostatnie dwa tomy łączy wspólny tytuł: Philosophie du XX siècle ²⁾. Autor staje tu wobec zagadnienia: co jest rzeczywistością? Czy ta różnobarwna i wielokształtna różnaitość uludnych zjawisk, czy też utajone czynniki (elementy), z których się one składają? Czy ciała chemicznie złożone, czy ich atomy? Czy psychiczny agregat, zwany wyobrażeniem lub uczuciem, czy też kojarzące się w nim akty psychiczne i t. d.? Faktem jest, że atom możemy pomyśleć tylko w funkcji chemicznego agregatu atomów, zwanego ciałem, i naodwrot ciało złożone jako agregat atomów. Z tego stanowiska każda rzeczywistość jest względna, zawaarunkowana. Nie istnieje całość zjawiska, ale nie istnieją też jego czynniki same przez się: jedno i drugie urzeczywistniają się tylko w danych warunkach równowagi. Swoją pogląd Le Dantec uwidocznia w formule symbolicznej $\varphi(A \times B)$, gdzie φ oznacza świadomość o zmianach, zachodzących w agregacie A, t. j. stosunków, które zachodzą tam w danej chwili pod wpływem, t. j. w związku, w zależności od zmian, które dokonywają się na zewnątrz A w jego środowisku (B). Autor stosunków językowych nie dotyka wcale, ale nigdzie może

jego pojmowanie rzeczywiście nie da się uwidocznic tak plastycznie, jak na faktach z zakresu języka: zastosowując do tej dziedziny poglądy Le Dantec'a, zdołamy, nie powiem, rozwikłać zasadnicze sprzeczności językoznawstwa, ale przynajmniej ująć ich istotę, zrozumieć ich źródło.

I. Postawmy najprzód zagadnienie konkretne: o ile istnieją rzeczywiście dyalekty, gwary miejscowe, jako odrębne całości na terytorium danego języka? Przyjrzyjmy się gwarom francuskim, t. zw. patois. Dzięki pomnikowemu wydawnictwu francuskiego ministerium oświaty, Atlasowi lingwistycznemu Francyi, wydawanemu pod kierunkiem prof. Gilliérona i Edmonta, można dziś z całą ścisłością stwierdzić, że poszczególne cechy każdego dyalektu (patois), a raczej każdej grupy gwar miejscowych mają swoje odrębne granice, niezależnie od granic innych właściwości językowych tejże grupy. Dotyczy to zarówno właściwości wymawiania, jak i typowych form gramatycznych, używania lub nieużywania pewnych wyrazów w takim lub innym znaczeniu, zwrotów mowy i t. d. Te granice terytoryalne odrębności językowych krzyżują się i przecinają ze sobą w najrozmaitszy sposób. Otrzymujemy tedy na mapie dyalektologicznej nie kontury dyalektów, lecz kontury właściwości dyalektycznych. Obiektywnie istnieje nie gwara, nie dyalekt w ogóle, lecz w szczególności ta lub inna właściwość języka, wspólna pewnej grupie mieszkańców danego obszaru. Złudzenie dyalektu powstaje stąd, że pewna liczba takich charakterystycznych cech językowych jest wspólna dla danej miejscowości. O ile chodzi o tę wspólnotę, pod tym specjalnym kątem widzenia możemy mówić o istnieniu dyalektu, czy gwary. Ale z drugiej strony te konkretne właściwości w mowie osobników, o które tu chodzi, również nie istnieją same przez się, urzeczywistniają się one tylko w związku z innymi odrębnościami mowy, o granicach miejscowych często różnych, odmiennych. A zatem: nie masz dyalektu, lecz są cechy dyalektyczne, ale te cechy

urzeczywistniają się tylko w dyalekcie... I nie jest to dyalektyka, czcza szermierka wyrazów, lecz stanowisko naukowe, płodne w następstwa. Niewyczerpane nigdy spory o klasyfikację genealogiczną języków, np. języków indoeuropejskich, m. i. słowiańskich, otrzymują z tego stanowiska zupełnie inne oświetlenie. Problem chronologiczny stopniowego rozszczepienia się języków na podobieństwo drzewa genealogicznego przeobraża się na zagadnienie topograficzne (o tle etnicznym), przesuwając się środek ciężkości zagadnienia. Kiedy niemieccy uczeni daremnie biedzili się nad pogodzeniem sprzeczności faktycznych, które nastroczało porównanie bliżej spokrewnionych języków indoeuropejskich, które oni często sami stwarzali, wymyślając coraz to nowe prajęzyki hypotetyczne, wspólne dla danej grupy, francuski lingwista Meillet w wykładach swoich w Collège de France ⁹⁾ sprowadza te powikłane stosunki podobieństw i różnic języków indoeuropejskich do dyalektycznych odrębności, które istniały już w zarodku na obszarze mowy praindoeuropejskiej. Granice terytoryalne tych właściwości (autor nazywa je *lignes d'isoglosses*) były oczywiście różne, nie pokrywały się, zachodziły jedne na drugie. Stąd np. słowiańskie języki mają *s* wspólne z sanskrytem i zendem (*ç*), lecz pod względem zachowania się *e* należą do grupy europejskiej (w przeciwstawieniach do aryjskiego *a*) i t. p. W zastosowaniu do języków słowiańskich wiele oszczędzonoby sobie sporów (o ich pokrewieństwo), stając na tem stanowisku...

II. Rozpatrzmy następnie szereg zagadnień teoretycznych. Rozkładamy mowę na zdania i zwroty, wyrazy i formy gramatyczne, „zgłoski rozbioru i zgłoski wymowy”, czyli morfemy i sylaby, głoski językowe, t. zw. dzisiaj fonemy, te zaś uważamy już to akustycznie, jako „dźwięki”, już też fizyologicznie, jako pracę mięśni organów mównych; wreszcie wszystko sprowadzamy do inervacji tkanki nerwowej mózgu na tle procesów chemicznych. W świecie psychicznym odpowiadają tym ogniwom procesu językowego nieskończenie zawile i

krzyżujące się systemy skojarzeń, a więc pewnych przyzwy czaje ń językowych, nastrojów, skłonności, czyli tego, co dziś nazywamy p o c z u c i e m j ę z y k o w e m.

Otóż zachodzi pytanie: o ile te czynniki językowe różnego stopnia, różnego poziomu współlistnieją rzeczywiście, o ile one u r z e c z y w i s t n i a j ą się w pewnych określonych warunkach równowagi?...

1. Z d a n i e uważamy zwykle za najwyższą jednostkę językową, ale jednocześnie zdanie uchodzi dziś w n a u c e o języku za jednostkę mowy zasadniczą, podstawową. Wszak wyrazy, formy gramatyczne istnieją tylko w zdaniu i przez nie wyłącznie. Można pogodzić te poglądy z pewnemi zastrzeżeniami.

Przedewszystkiem uderza fakt, że dla innych znanych i uznanych jednostek językowych można ustalić pewne normy, pewne granice wahania się stosunków językowych. Tak rzecz się ma z wymawianiem, z typami form gramatycznych, z doborem wyrazów, ich użyciem, z ustalonymi z w r o t a m i mowy. Inaczej w zdaniu! To, co tu wy-daje się stałem, typowem, jest właściwie poza zdaniem, stanowi jednostkę niższego rzędu, gotowy zwrot, t. zw. k o n s t r u k c y ę w ścisłym tego słowa znaczeniu. A więc ład wyrazów, o ile jest ustalony w danym języku, wogóle lub w poszczególnych warunkach (zwroty pytające, lub przeczące np.), wypadki składni rzędu, składni zgody, pewne spojenia zdań i ich części między sobą i t. d., wogóle wszystko, co jest u n o r m o w a n e zwyczajem. Nie zapominałmy, że język jest i n s t y t u c y ą s p o ł e c z n ą i jako taka opartą na tradycyjnem zachowywaniu obowiązujących w y c z a j ó w wymawiania, wyrażania się, mówienia. Odchylenia od ustalonych norm możliwe są tylko w p e w n y c h g r a n i c a c h, w zależności od warstwy s p o ł e c z n e j, wśród której osobnik przebywa, i okoliczności, w których przemawia. Cóż tedy pozostanie w zdaniu poza właściwą konstrukcją językową? Sądy, wnioski, jako produkt myśli, obraz wzięty z rzeczywistości lub urojony, jako wytwór wyobraźni, jedno—ze sfery logiki, drugie

ze sfery estetyki, sztuki i literatury... Na pozór wydaje się to paradoksem. Ale proszę rozważyć spokojnie: czym są w istocie przysłowia narodów, aforyzmy autorów, jeżeli nie zdaniami—utworami? Czym są kunsztownie zbudowane okresy, jeżeli nie utworami sztuki? To co w zdaniu jest indywidualnem w treści i w formie, to, w czym osobnik emancypuje się z pod panującej normy, jest właściwie pozajęzykowym, jest poza gramatyką, należy do stylu, do literatury, estetyki. Najwyższa jednostka językowa—zdanie—przestaje być taką i staje się czynnikiem innego rzędu, innej sfery—sztuki. Naturalnie i w tej sferze ustalają się pewne normy, różniczkują się pewne typy wypowiedzenia, rodzaje utworów.

Z czasem właściwości stylowe, znajdując naśladowców, mogą się stać właściwościami składniowymi, konstrukcyami języka; jesteśmy na pograniczu dwóch dziedzin, pomiędzy którymi wymiana jest stała. Trudno, niekiedy nawet rozgraniczyć, co należy właściwie do stylu, co do gramatyki. W każdym razie można bronić tej tezy, że to, co jest w zdaniu właściwie językowego, jest konstrukcją, a więc konstrukcye, zwroty, nie koniecznie zdania—są zasadniczą, podstawową jednostką językową.

Są wypadki, w których konstrukcja jest jednocześnie zdaniem, rozumie się względnie prostem. Wtedy sprzeczności poglądów ustają oczywiście. (Porówn. Bóg zapłać, dzień dobry, czołem i t. p.). Wogóle naukowe określenie zdania jest rzeczą niezmiernie trudną, dotychczas przynajmniej wszystkie wysiłki (a wznawiano je tylokrotnie w ostatnich czasach!) spełżyły na niczem, nie wyłączając próby Ottmara Dittricha, definicyi zbyt długiej ¹⁰⁾.

Powszechnie uprawiamy przesąd, że zdanie, jako „myśl wyrażona słowami”, jest połączeniem podmiotu z orzeczeniem, syntezą wyobrażeń. O ile dotyczy to mówiącego osobnika, jest to psychologicznie fałszywem. Z mętnej niejasnej grupy wyobrażeń snujących się w naszym umyśle wyłaniają się dopiero członki zdania, podmiot i orzeczenie, w miarę uświadamiania się myśli, niby system planetarny z wirującej mgławicy. Mamy tu nie syntezę,

lecz analizę myśli. Co innego, jeżeli chodzi o osobnika słuchającego cudzej mowy. W tym wypadku słuchacz, w miarę tego jak do świadomości jego dochodzą wypowiedziane wyrazy (członki zdania), kojarzy w umyśle swym odpowiednie wyobrażenia. Jest to rzeczywiście synteza. Jednocześnie jest to typowy wzór apercypcyi. Wywołana w umyśle grupa wyobrażeń apercypuje, pochłania, przyswaja sobie, jako nowy element w tej grupie, podsunęte wyobrażenie (orzeczenie). W zdaniu: „wieloryb nie jest rybą, lecz ssakiem”, podmiot „wieloryb” przywołuje na myśl słuchaczowi wyobrażenie już znane skądinąd; natomiast orzeczenia (nie jest rybą, jest ssakiem) mogą zawierać dla niego już to nową wiadomość, zgoła nieoczekiwaną, już też uprzytomnienie zapomnianej prawdy.

2. W tem, co tu powiedziano o zdaniu, dwa doniosłe względy są do zaznaczenia:

A) Zdanie, jak widzieliśmy, w chwili jego powstania w umyśle mówiącego jest analizą, dla słuchacza jest ono syntezą. Proces psychiczny, poczęty jako dezintegracya, różniczkowanie, u osobnika czynnego, dokonywa się jako integracya, całkowanie, w osobniku biernym. Ale to tylko pozorna strona zjawiska; w rzeczy samej zamknięcie łańcucha ogniów procesu mowy urzeczywistnia się spontanicznie w obudwu osobnikach, w każdym inaczej: wypowiedziane zdanie słyszymy sami i w miarę wypowiadania go syntetyzujemy je; usłyszane zdanie powtarzamy w myśli, analizując je ponownie; w obudwu wypadkach poza procesem mówienia i słyszenia (mowy) jest jeszcze proces mowy wewnętrznej, utajony, ale rzeczywisty, dający się stwierdzić naukowo: autoobserwacją, badaniami patologicznymi, spostrzeżeniami z codziennego życia.

Zwracam uwagę na tę kolejną zmianę roli czynnej i biernej, wśród osobników i w każdym osobniku, na ten wahadłowy ruch, na tę oscylację faz mowy, przypominającą tak dalece procesy oddychania, bicia serca i tlenych zjawisk alternacji. Zupełne zrozumienie mowy odpowiada całkowitej (podwójnej) oscylacji. Stosuje się to do tego, co słyszymy, i do tego, co sami mówi-

my; nawet pomyślane zdanie uświadamiamy sobie językowo, jak gdyby było wypowiedziane przez kogoś.

Różnica mowy, jako produkcji, reakcji organizmu, i jako percepcji, inaczej mówiąc, jako procesu odśrodkowego i dośrodkowego, należycie uwzględnioną i wyzyskaną naukowo została w medycynie, w patologii mowy; natomiast wśród językoznawców te pojęcia się nie różniczkowały jeszcze należycie: mówi się o zjawiskach języka wogóle, nie zdając sobie sprawy często, co się ma na myśli, który z tych dwu czynników mowy. Zasługą właśnie Ottmara Dittricha jest wysunięcie w badaniu istoty mowy procesu słyszenia jej i wynikających stąd następstw ¹¹⁾. Jedno z takich następstw, wielkiej doniosłości pod względem metodologicznym, podniósł świeżo młody lingwista francuski Sècheyaye ¹²⁾, mianowicie zaradzanie się nowych kategorii gramatycznych w umyśle słuchacza, podczas procesu słuchania mowy innych, wskutek odmiennego kojarzenia np. części wyrazu lub zdania, niż to ma miejsce w poczuciu mówiącego. Dość przypomnieć o wypadkach takich, jak francuskie l'azur zamiast lazur, lub lierre zamiast l'ierre, ażeby zrozumieć, o co chodzi. Na tem tle np. powstają dwuznaczniki i t. zw. wszelka gra wyrazów. Cóżbyście odpowiedzieli, gdyby was Francuz spytał: Quel est le premier homme du monde?... „Adam”, nieprawdaż? a on sobie myślał podstępnie: Le rhum [rom'] de la Jamaïque! Niezmiernie ważną rolę musi odgrywać słyszenie, wadliwa percepcja dźwięków w stopniowych zmianach, degeneracji dźwięków danego języka, w t. zw. prawach głosowych; ale i ta strona zagadnienia w nauce zaledwie dotknięta została.

B) Zdanie, jak widzieliśmy, o ile jest syntezą, jest również wypadkiem a percepcji. Ale z istoty a percepcji, jako procesu skojarzenia, wynika, że zdanie co najmniej musi być dwuczłonowe, nie znaczy to dwuwyrazowem... Wyrazy nie zawsze odpowiadają członkom zdania, w zdaniu niejedno jest nie wypowiedziane, odczute jednak, pomyślane przez słuchacza, nawet niezależnie od tego, co miał na myśli mówiący. Otóż ta dwu-

członowość jest również charakterystyczną cechą zwrotu, konstrukcyi. Na czem polega różnica? Konstrukcja jest rezultatem jednorazowego świadomego impulsu woli, który w wykonaniu swoim, w szczegółach i środkach stał się już automatycznym. Przeciwnie zdanie w istocie swojej jest produktem psychicznym świadomym¹³. Tylko wtedy, gdy powtarzamy stereotypowe formuły językowe, utarte zwyczajem, gdy zdanie koincyduje ze zwrotem, konstrukcją, mamy automatyczne wykonanie świadomego impulsu woli np. w przysłowiu „Bóg zapłać”.

Ta dwuczłonowość, którą odnajdujemy w zdaniu i w konstrukcyi, daje się wykazać i w innych jednostkach językowych, różnego stopnia i poziomu, a więc w wyrazach złożonych, w odpowiadającym im stosunku zdań pobocznych do głównego, w formach gramatycznych, mianowicie w stosunku części zasadniczej wyrazu do części „względnej”, w akcentuacyi (w stosunku akcentu głównego do drugorzędnego) i t. d. Odnajdujemy ją, tę dwuczłonowość również i w faktach semazyologii, w nauce o znaczeniach wyrazów. Udowodnił to świetnie przed paru laty dr. Jan Rozwadowski, prof. wszechnicy Jagiellońskiej, i znalazł poparcie w sferach kompetentnych¹⁴). Paralelizm wspomnianych tu kategorii z kategoriami konstrukcyi i zdania jest niezmiernie pouczający, rzuca pewne światło na istotę zjawisk językowych.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę grupę jednoznacznych wyrazów, jak francuskie *moulin à vent*, niemieckie *Windmühle*, rosyjskie „wietrianaja mielnica”, to odrazu uderza nas, że przedmiot ten (wiatrak) był apercypowany narazie jako młyn; jest to stadium utożsamienia, integracyi, poczem wyłoniła się już różnica (stadium dezintegracyi). Wyodrębniająca cecha, młyn „obracany” przez wiatr, podsunęło odpowiednie skojarzenie wyrazowe różnych odcieni, choć identyczne w zasadzie: określający wyraz przychodzi na myśl Francuzowi później, Niemcowi wcześniej (w związku z typem myślenia tych narodów); Rosyanin, zbliża się nieco do typu niemieckiego, zachowując zresztą

cechę słowiańską (przymiotnik zamiast rzeczownika). Gdybyśmy używali podobnej nazwy, powiedzielibyśmy: „młyn wietrzny”. Ale Polacy mają swój wiatrak, zbudowany na wietrze, czy z wiatru, chciałem powiedzieć, utworzony od wyrazu „wiatr”, na wzór innych rzeczowników z przyrostkiem —ak, oznaczającym miejsce, gdzie się coś znajduje, odbywa, wyrabia. Porównajmy m.i. tartak, gdzie trą (piłują) tarcice, deptak w znaczeniu foul oir i foulerie (od foul-er = deptać). Otóż w umyśle Polaków cecha wyodrębniająca przedmiot od młyna wodnego pochłonęła cechę wspólną w obudwu wypadkach (młyn—do mielenia zboża), ale i ślad dwuczłonowości pozostał nie tylko w skojarzeniu wyobrażeń („młyn wietrzny”), lecz i w budowie wyrazu, w jego rozczłonkowaniu na „wiatr-ak”. W takim przykładzie znowu, jak jelonek, niby mały jeleni, polszczyzna dała przewagę cechom wspólnym chrząszcza i jelenia, ich rogom, co w rosyjskim uwydła, tniło się w wyrazie „rogacz” (= jelonek), gdy tymczasem polski rogacz oznacza właśnie jelenia. Dla Niemca jelonek jest tylko chrząszczem, podobnym do jelenia, Hirschkäfer; dla Francuza już jeleniem, ale latającym, cerf-volant; w obudwu zresztą wypadkach dwuczłonowość jest oczywistą, u Słowian przeciwnie utajoną: tu przeważa synteza, integracja, tam analiza, dezintegracja. Niezmiernie pouczający przykład skojarzeń znaczeniowych dostarcza nam słowiański wyraz góra, używany przez południowych Słowian w znaczeniu las. (Toż samo w narzeczach słowackich i morawskich). Dla tych narodów góra (wyniosłość) jest przedewszystkiem lesistą, pokrytą lasem; wobec przewagi tego wyobrażenia, góra staje się lasem górzystym, i wreszcie wprost lasem. Mamy tu szereg procesów psychicznych: całkowania i różniczkowania naprzemian, w których dwuczłonowość znaczeniowa występuje to jawniej, to mniej widocznie. Nie mogę oczywiście wchodzić tu w dyskusję wysoce oryginalnych poglądów prof. J. Rozwadowskiego, zauważę tylko, że automatyzm dwuczłonowych nazw, niezależnych od sytuacji, w jakie się one wytworzyły, o którym wspomina mimocho-

dem profesor krakowski, odpowiada, zdaniem mojem, impulsywnemu automatyzmowi konstrukcyi gramatycznych w przeciwstawieniu do zdań, opartych na uświadamiającem się rozczłonkowaniu całości wyobrażenia. Byłoby to nowe utożsamienie różnych z pozoru zjawisk językowych.

3. Powszechnie przyjętem jest wyprowadzać „części mowy” i inne kategorie gramatyczne ze zdania, z tych funkcji, jakie wyrazy i formy spełniają w zdaniu, jako jego członki. Przytem często zachodzi tu pomieszanie kategorii logiki z kategoriami gramatyki. Logika rozróżnia pojęcia substancji, własności, działania; szukamy więc ich odpowiedników w języku i „znajdujemy” je w rzeczownikach, przymiotnikach, słowie i t. d. Psychologicznie rzecz przedstawia się zgoła inaczej. Oto jak ją oświeśla obecnie lingwista-psycholog holenderski van Ginneken ¹⁵⁾. Wychodząc z założenia, że wszelki proces językowy polega na apercepcji, wprowadza on do tego pojęcia, w duchu współczesnej psychologii w o l u n t a r y s t y c z n e j, nowy czynnik uczucia zgody (na coś), przyzwolenia. Myślę o „wielorybie” i apercepuję go naiwnie jako „rybę”, lub racjonalnie jako „ssaka”. Zgadzam się, lub nie zgadzam na utożsamienie wieloryba z rybą; powiadam sobie w myśli: „tak, to ryba oczywiście...”, lub protestuję: „nie, to nie ryba, to ssak przecież”. Otóż to poczucie zgody lub niezgody, przyzwolenie lub protest, poczucie niejasne, nie formułowane wyraźnie, a jednak uświadamiane poniekąd, które każdy na sobie sprawdzić może, van Ginneken nazywa w swoim języku, po holendersku: *beamen* (stwierdzić, przyzwolić), *beaming* (zgoda, potwierdzenie)—od biblijnego „amen”, co znaczy: „to wszystko stwierdzam i uznaję”, właściwie: „niech tak będzie”... Z badań subtelnie, mistrzowsko przeprowadzonych przez van Ginnekena wynika, iż można wyróżnić kilka rodzajów apercepcji, pojmowanej jako przyzwolenie (w francuskim wydaniu swojej książki autor używa terminów: *adhésion*, *assentiment*). Uczucie uznania, towarzyszące procesowi apercepcji, może być w z g l ę d n e lub b e z w z g l ę d n e, stosownie do tego, czy ujmujemy umy-

słem tylko częściowo cechy przedmiotu, czy całkowicie, bezwarunkowo w danej chwili pochłania naszą uwagę jakieś zjawisko. Możemy podczas apercepcyi odczuwać rzeczywistość lub możliwość danej grupy wrażeń (apercepcya realna i potencjalna); możemy uświadamiać sobie dokładnie treść danego wyobrażenia, lub też myśleć o niem bez właściwej treści (*in potentia*), jak to ma miejsce np. gdy przypominamy sobie, iż słyszeliśmy taką a taką melodyę, ale w danej chwili w myśli melodyi tej nie bylibyśmy w stanie zanucić, ani barwniej uprzytomnić sobie. W jednym wypadku mamy apercepcyę treściwą, znaczeniową w drugim symboliczną, znakową, wskazującą (w terminologii autora: *adhésion significative et indicative*).

Otóż van Ginneken udowadnia zwycięsko, że nasze kategorie gramatyczne (części mowy, przypadki, tryby, czasy i t. d.) w zupełności odpowiadają tym różnym rodzajom apercepcyi, ściślej—tym odcieniom uczucia, które towarzyszą procesowi apercepcyi. Z tego stanowiska np. różnica między rzeczownikiem i słowem będzie odpowiadała stosunkowi apercepcyi względnej do bezwzględnej. Z nazwą „pomarańczy” kojarzy się pewna grupa wspomnień doznanych uprzednio wrażeń zmysłowych; dokonywa się tu pewien dobór naturalny tych wspomnień, względnie do okoliczności, inaczej mówiąc, stwierdzamy nową percepcyę względnie do dawnych wrażeń, uświadomionych obecnie, wogóle mamy tu apercepcyę stosunkowo „różniczkowaną”, proces psychiczny względnie złożony i trwały. Przeciwnie słowa: „zagrzmiało, błysło...” wywołują w naszym umyśle bezpośrednie wyobrażenie zjawiska, niezależnie od uświadomienia się naszych wspomnień; proces psychiczny będzie prosty, chwilowy (*instantané*). Wszelka próba przedłużenia procesu podsunie przez skojarzenie umysłowi naszemu obraz sytuacji, w jakiej się czynność pojawia. Jest to apercepcya bezwzględna. Możemy mieć świadomość jednocześnie tylko o jednym fakcie, o jednej czynności; przeciwnie możemy łatwo wyobrazić sobie (świadomie) kilka przedmiotów naraz. Oto dlaczego rzeczowniki rozróżniają liczby, a sło-

wa—nie (bo pozorna różnica liczb w konjugacji dotyczy właściwie zaimków, a więc działaczy, nie czynności!); oto dla czego również przy rzeczownikach możemy użyć liczebników, przy słowie staje się to niemożliwym. Czynność zajmuje całą przestrzeń, uświadamianą w danej chwili; przedmiot zajmuje tylko pewną część tej przestrzeni. Przedmiot istnieje dla nas w ciągu całego czasu, który sobie uświadamiamy; czynność trwa tylko pewną część tego czasu. Stąd rzeczowniki rozróżniają przypadki (miejscowe), słowa zaś czasy. Wszelka czynność, jako ruch, wychodzi z czegoś, dąży do czegoś: stąd różnica takich kategorii gramatycznych, jak Podmiot i Przedmiot, Mianownik i Biernik...

Poglądy van Ginnekena na istotę różnicy między rzeczownikiem i słowem zyskują ciekawe poparcie przy rozbiórze faz przejściowych od apercepcji względnej do bezwzględnej, uwidoczniających się w imiesłowach, rzeczownikach słownych, w słowach pochodnych od imion i t. d. Ale nie sposób podążać tu za subtelną argumentacją autora; mogę tylko odesłać czytelników do jego książki, tak bogatej w treść, otwierającej zupełnie nowe horyzonty dla językoznawstwa. Bez przesady mogę oświadczyć, iż „Psychologia mowy” van Ginnekena jest najbardziej suggestywną pracą lingwistyczną, jaką czytałem w ostatnich kilkunastu latach... ¹⁵⁾.

Różnica między rzeczownikiem i przymiotnikiem odpowiada według van Ginnekena stosunkowi apercepcji realnej do potencjalnej. Przedmiot jest dla nas czemś istniejącem nazewnątrz, stale, źródłem stałych i jednakowych wrażeń; podniety różnych zmysłów integrują się tu w pewną określoną całość, wrażenie rzeczywistości. Własności, przymioty uświadamiamy sobie jako powtarzające się w różnym stopniu, w różnych możliwych odcieniach wrażenia (przeważnie) jednego zmysłu, otrzymywane od różnych przedmiotów. Mamy tu pewnego rodzaju abstrakcję, proces różniczkowania tego, co jest możliwym: wrażenie możliwości. Zgodnie z tem przymiotnik rozróżnia stopniowanie

własności, rzeczownik oznacza rzecz taką, jaką ona j e e s t; rzeczownik rozróżnia przypadki, przymiotnik, pozbawiony samodzielnej deklinacji, jest już to nieodmiennym, już t e ż zgadza się z rzeczownikiem, wzorując się na nim lub o d m i a n i e zaimków. Toż samo co do rodzajów: przymiotnik przystosowuje się lub nie do rodzaju rzeczownika, r z e c z o w n i k o w i z a ś w ł a ś c i w y j e s t t e n l u b ó w r o d z a j. R z e c z o w n i k o w i m o ż e t o w a r z y s z y ć p r e d i m e k, p r z y m i o t n i k z p r e d i m k i e m s t a j e s i ę r z e c z o w n i k i e m: m o ż l i w o ś ć s t a j e s i ę r z e c z y w i s t o ś c i ą, a p e r c e p c y a — r e a l n ą. W o b u d w u w y p a d k a c h z r e s z t ą j e s t o n a w z g l ę d n ą. B e z w z g l ę d n a a p e r c e p c y a, k t ó r e j w j ę z y k u o d p o w i a d a k a t e g o r y a s ł o w a, r ó r ó w n i e ż m o ż e b y ć r e a l n ą l u b p o t e n c y a l n ą. J e s t o n a r e a l n ą a n p w c z a s i e t e r a ż n i e j s z y m t r y b u o z n a j m u j ą c e g o, j e s t p o t e n c y a l n ą w c z a s i e p r z y s z ł y m l u b p r z e s z ł y m t e g o ż t r y b u, a t t a k a k ż e w t r y b i e w a r u n k o w y m, ż y c z ą c y m i t. d.

Co się tyczy części mowy nieodmiennych w przeciwstawieniu do odmiennych, to różnice ich opierają się już ż n i e n a o d r ę b n y c h t y p a c h a p e r c e p c y i, l e c z n a r ó ż n i c y u c z z u c u ś k o j a r z o n y c h z t y m i w y r a z a m i, p o z b a w i o n y m i s a m e p r z r z e z s i ę w ł a ś c i w e j t r e ś c i, w ł a ś c i w e g o z n a c z e n i a. M o ż e t o b y ć u c z u c i e ł ą c z n o ś c i, z w y k l e b a r d z o s ł a b e i n i e t r w a w a ł e (n p. w s p ó j n i k a c h i p o c z ę ś c i p r z y i m k a c h), l u b u c z u c i a j j a k o ś c i o w e r ó ż n y c h o d c i e n i (u c z u c i e p e w n o ś c i, u c z u c i e t o ż s a m o ś c i l u b r ó ż n i c y, u c z u c i e d ą ż n o ś c i, w w y s i ł k u i o p o r u i t. d.); w r e s z c i e b y w a t o u c z u c i e n a t ę ż ż e n i a, s t o s u n k o w o s i l n e i t r w a ł e, t a k ż e w z g l ę d y i ł o ś c i o w e z a c i e r a j ą t u p o n i e k ą d r ó ż n i c e j a k o ś c i o w e. N i e u c h w y t n o n o ś ć z n ą c z e n i a p a r t y k u ł o d p o w i a d a z u p e ł n i e s u b t e l n o ś c i o d c i e n i t y c h u c z u ć. O t o p r ó b y z a s t o ś o w a n i a t y c h k a t e g o r y i p s p s y c h o l o g i c z n y c h d o f a k t ó w j ę z y k o w y c h, j a k j e p o j m u j e v a n G i n n e k e n. W y w o d y j e g o o p i e r a j ą s i ę z j e d n e j s t r o n y y n a s u b t e l n e j a n a l i z i e u c z u ć, s k o j a r z o n y c h z p a r t y k u ł a m i, z d r u g i e j n a e t y m o l o g i c z n y m r o z b i o r z e t y c h w y r a z ó w. F r a n c u s k i s p ó l n i k e t, k t ó r e m u t o w a r z y s z y u c z u c i e ł ą c z n o ś ś c ś c i, j e s t k o n t y n u a c y ą ł a c i Ń s k i e g o e t, k t ó r y o d p o w i a d a g r e c k i e m u é t i; a l e w g r e c z y z n i e é t i z a c h o w a ł o j e s z c z e z n a c z e n i e: „zatem, następnie”. F r a n c u s k i e c a r j e s t s p ó j n i k i d k i e m

przyczyny, ale łacińskie quare, z którego się rozwinęło, oznacza skutek; w obudwu wypadkach wspólnym czynnikiem jest uczucie związku, łączności. Francuskie mais, używane jako spójnik przeciwniczy w znaczeniu lecz, ale, jest właściwie przysłówkiem magis (więcej) w przeciwstawieniu do „mniej”, a więc w poczuciu językowym zbliżone poniekąd do polskiego „co większa” (= nie tylko, lecz...) Jak dalece spójniki same przez się pozbawione są określonego znaczenia i zapożyczają je od zdań, które łączą, widać to z licznych funkcji francuskich spójnika o r. Odmianka łac. hōra zamiast hōra, wyraz ten etymologicznie identyczny jest z rzeczownikiem heure; nie oznacza już, jak ten ostatni, godziny, czasu, chwili, lecz obecną chwilę (tout à l'heure obecnie teraz) a więc nadaje się do wprowadzenia (w mowie) tego, co nastąpi, stąd znaczenia: następnie, więc, otóż, przeto... w sylogizmach, przed przesłanką mniejszą: ponieważ. W umyśle Francuza o r kojarzy się z uczuciem związku, łączności, z pewnym odcieniem wyczekiwania. Widzimy też przy tej sposobności, jak pojęcia szkolnej gramatyki, przypisujące spójnikom szczególny wpływ na znaczenie zdań i ich wzajemne stosunki, odbiega od rzeczywistości, faktów języka i ich naukowego pojmowania. Bez wątpienia, na tle uczuć, skojarzonych z tą lub ową partykułą, w umyśle słuchacza może się wyłonić (przez zastanowienie) odpowiednie skojarzenie myślowe niekoniecznie logiczne, nieraz sprzeczne wręcz z wymaganiami logiki. Widać to na przykładach. O niektórych z nich można utrzymywać (bez wielkiej przesady), że oznaczają niemal wszystko, co chcemy: nie one nadają znaczenie przypadkom, lecz raczej zawdzięczają je im. Charakterystycznym dla przyimków jest tylko towarzyszące im uczucie, nieraz bardzo zbliżone do tego, które kojarzy się z pewnymi spójnikami.

Dość wspomnieć o synonimice przyimków z (= słow. съ), cum, сѹ, mit, avec z odpowiednimi spójnikami: i, e t, xai, und, et... W obudwu wypadkach jednakowo chodzi o uczucie łączności, związku. Jako okazy, stwierdzające uczucia, które kojarzą się z przyimkami, (względnie prefiksami),

nadają się do rozbioru przyimki polskie (i wogóle słowiańskie): o (ob-), od (ot-), przy, przez, raz-, wy-, za... Z przyimkami *o*, *ob-* łączymy uczucie *objęcia*, *otoczenie* zewsząd, zgodnie zresztą z pokrewieństwem, ustalonym naukowo, tych wyrazów z łacińskim *ambo* (*oba*), greckim *amfi* (*amfiteatr*) = *obustronnie*, z obudwu stron, niemieckim *um* (*wokoło*). Porównajmy zwroty: rozmowa toczy się *o* tem, mówić *o* czem, *omówić* coś... Uczucie *odłączenia* towarzyszy przyimkom *o t-* *o d* w przeciwstawieniu do *do*, *oddać*—*i do dać*, *od-łożyć* i *dołożyć*. Przyimek *prz y* podsuwa uczucie kontaktu, zetknięcia: *przy-tknąć*, *przy-łożyć*, *położyć* *przy* czem, *przywiązać* *przy* boku. Francuskie *près*, z łacińskiego *pressus* = *przyciśnięty*, pod względem nastroju przedstawia ciekawy odpowiednik do polskiego *przy*. Przeciwnie z wyrazem *p r z e-*, *p r z e z* kojarzy się uczucie dążności i pewnego oporu: *przerznąć się przez..*, *przejsć*, *przejechać*, *przebyć*, *przetrwać* i t. p. *R o z-*, etymologicznie z * *o r z-*, prawdopodobnie pokrewne z wyrazami innych języków (sanskrytu, litewszczyzny), oznaczającymi: „część, oddzielić, oddzielnie”, — odczuwane jest jako *rozstąpienie*, *rozszczerpienie*: *rozrosnąć się*, *rozrzucić* (porównajmy *do-rzucić*), *roztargniony* (na wszystkie strony...), *roz-ważyc* (w różnych kierunkach), *lecz*: *obmyśleć* (wszechstronnie, z e wszystkich stron). *W y-*, używane tylko jako prefiks, etymologicznie odpowiada niemieckiemu *a u s*, z dawniejszego *uz*, *ut*, odnajdujemy je w pochodniku słowiańsk. *wъnъ* (*won*), ruskim *vnê* (*nazewnątrz*). Otóż w wyrazach złożonych, jak: *wywieść*, *wytoczyć*, *wyciągnąć*, *wygadać się*, *wyjęzyczyć się*, odczuwamy jakgdyby *parcie*, dążność z wewnątrz na zewnątrz; przeciwnie z przyimkiem *w z n-* łączy się uczucie dążności z oporem ku górze: *wznieść się*, *wzniesienie*. Porównajmy staropolskie *wzgórę*, *wzwiatr* i staroczeskie *v z vodu* zamiast: *pod górę*, *pod wiatr*, *pod wodę*, ruskie *w w i e r c h* (po rjekie). Już z tych kilku przykładów widać, że chodzi tu nie o rzekome *w y k ł a d n i k i s t o s u n k ó w* logicznych (między przedmiotami lub czynnościami), nie o szczyt myśli abstrakcyjnej, lecz o poziome *n a s t r o j e u c z u-*

ci o w e na tle z m y s ł o w e m. Takie pojmowanie istoty części mowy nieodmiennych, tak mało zbadanych dotąd w nauce, otoczonych jeszcze pewną tajemniczością, rokuje nadzieje na przyszłość.

Zachodzi pytanie: w jakim wogóle stosunku pozostaje ta nowa teoria części mowy van Ginnekena do zagadnienia, o które nam chodzi, do formuły „rzeczywistości” Le Dantec’a? Zyskujemy tu nową podstawę do zrozumienia, dla czego niema i nie może być ścisłych granic między częściami mowy: te ciągle wahania kategorii gramatycznych odzwierciedlają tylko oscylacje procesów psychicznych, z których się wyłoniły ¹⁶⁾.

4. Te same przyczyny, które utrudniają nam świadome rozróżnienie *części mowy* w każdym poszczególnym wypadku, też same przyczyny nie zawsze pozwolą nam ściśle rozgraniczyć *członki zdania* w stosunku ich wzajemnym do siebie. Wiedzą o tem dobrze nie tylko nasi uczniowie z doświadczenia przy rozbiorze; przekonujemy się o tem częstokroć i my, nauczyciele języków. Są wypadki, w których nie łatwo jest orzec, czy mamy do czynienia istotnie z t. zw. „dopełnieniem” czyli „przedmiotem” w zdaniu, czy też „domiotem” (częścią składową orzeczenia); w innych razach dopełnienie nie dostatecznie przeciwstawia się wyrazom okolicznościowym lub „określeniom przyimkowym” i t. p. Z tego rodzaju wątpliwościami walczą również i badacze fachowi; dość wspomnieć o takich powagach naukowych w rzeczach składni, jak prof. B. Delbrück, W. Meyer-Lübke lub G. von der Gabelentz (syn). I to jest zupełnie zrozumiałe. Albowiem kategorie gramatyczne nie są czemś stałym, niewzruszonym, powszechnym, jak to jesteśmy skłonni sądzić na podstawie pojęć tradycyjnych gramatyki języków klasycznych; owszem, kategorie składni, jak i wszelkie inne w języku, podlegają ciągłym przeobrażeniom w przestrzeni i czasie i coraz to inaczej kształtują się w różnych typach językowych i różnych okresach rozwoju tegoż samego języka. Oczywiście

należy tu zastosować formułę rzeczywistości *Le Dantec'a*. Pewien wyraz staje się tą lub inną częścią mowy, pewna forma gramatyczna staje się tym lub owym członkiem zdania o tyle tylko, o ile w danym wypadku urzeczywistniają się niezbędne ku temu warunki równowagi „otoczenia”, a więc sprzyjająca konstelacya skojarzeń językowych i poza-językowych.

Zjawisko składni, które dziś pod nazwą *Synkretyzmu* znajduje się na porządku dziennym w lingwistyce, nadaje się właśnie do uwidocznienia tych stosunków równowagi niestalej¹⁾. Typowy przykład zachodzących tu procesów dostarcza nam zanik (dissolution) prastarego przypadku, Ablativ'em zwanego, w językach indo-europejskich. Pierwotnie oznaczał osobę lub rzecz, od której się coś oddala, odłącza i t. p., i w tem znaczeniu zachował się np. w sanskrycie i w łacinie archaicznej; w klasycznej—po długich wahaniach—skrzyżował się z Narzędnikiem (Instrumentalis) i te same formy (merito=arch. meritod) pełniły już obie funkcje; w grece zastąpiono Ablativ—Dopełniaczem; u Niemców zanikł, „rozpłynął się” w Celowniku; Słowianie i Litwini używają po dziś dzień Ablativ'a („wilka”), zm. właściwego Dopełniacza.

Znaczna część wypadków użycia „Dopełniacza” w językach słowiańskich zrozumiała jest tylko z tego stanowiska. Nie sposób wchodzić tu w szczegóły i przebieg tej sprawy²⁾. Zaznaczę tylko, że w zakresie „składni rządu” to

¹⁾ Porówn. *Brugmann*. Kurze vergleich. Gramm. 1903, str. 417—22. 445—6. *Tegoż*, Grundriss der vergl. Gram. 1909. II², 2, 1, str. 113—14. *Delbrück*, Vergl. Syntax, (=Grundriss, III¹ Bd. 1893, 1-er Th. 189—99.). *Tegoż*, Synkretismus. Ein Beitrag zur germanischen Kasuslehre. Strassburg. Trübner. 1907. 8^o. (Cenny materiał 152—224, ciekawe wnioski szczegółowe, 229—42, brak jednak szerszych uogólnień, 225—29).

²⁾ Czeski uczony, prof. *M. Hattala* pierwszy wykazał powinowactwo słowiańskich (i litewskich) Dopełniaczy typu „wilka” z prastaremi Ablativ'ami innych jęz. indoeuropejskich, i wyciągnął

wkraczanie ciągle jednych przypadków w „sferę działalności” innych, to opanowanie pewnych „obszarów wyobrażeniowych” przez różne zgola postacie gramatyczne — należy do zjawisk powszednich. Wchodzą tu w grę czynniki niezmiernie złożone. Do synkretyzmu mogą przyczynić się procesy czysto fonetyczne, zacierając w wymawianiu różnice form i wytwarzając homonimy gramatyczne; nowoustalony typ (morfologiczny) przejmując znaczenia (funkcje) typów zanikających w walce o byt. Najczęściej sprzyja temu pewne pokrewieństwo, pewna styczność znaczeń, synonimika danych form, która pociąga za sobą cały rząd przystosowań analogicznych i wyrównywa dawne różnice form, rozszerzając jednocześnie zakres ich użycia. Przeciw niedostatecznej ścisłości wysłowienia, która stąd powstać może, reagujemy użyciem odpowiednich przyimków; przyspieszamy w ten sposób zanik przypadków, ułatwiamy synkretyzm. Nie obojętną jest także i „liczba”, w jakiej używa się formę „przypadkową”: liczba podwójna najwięcej stosunkowo sprzyja synkretyzmowi; w liczbie mnogiej proces ten dokonywa się częściej niż w liczbie pojedynczej, gdzie formy przypadkowe największą okazują oporność wobec dążenia do synkretyzmu. Wogóle dokonywują się tu bardzo zawile procesy asocjacji i dysocjacji, wytwarzają się nowe ugrupowania stosunków składniowych, które tem trudniej jest ująć, sformułować, że nie jesteśmy wyzwoleni z pod wpływu utartej w gramatyce nomenklatury przypadków. Nie uświadamiamy sobie należycie ich istoty, tej prawdy, że przypadkiem—wbrew przekonaniu ogółu—nazywamy właściwie nie formę gramatyczną

stąd właściwe wnioski dla składni rzędu, w rozprawie „O ablativě ve slovančině a litvančině” v Praze. 1858. 8^o 65. (Odbitka z „Časopisu Musea českého”. 1857—58), str. 15—41, 51—65. W szczegółowej bibliografii tego zagadnienia, którą podaje świeżo *Brugmann*, Grundriss d. vergl. Gram. II³, 2, 1 (1909) str. 163—64, niemasz wzmianki o Hattali...

samą przez się, nie funkcję jej w oderwaniu, lecz zgodne zespolenie obu czynników, ich integrację w zwrocie mowy, w konstrukcji, t. j. w ustalonych warunkach „otoczenia” językowego. Niezależnie od różnicy zakończeń, takie formy jak: „mężowi i żonie, panu i pani”, są celownikami l. poj.; niezależnie od pozornej zgodności też same formy: „panu, pani, żonie”, w innym związku, mogą być Miejscownikami. Na oznaczenie czasu mamy do rozporządzenia różne przypadki: „zimą i latem”, stpol. „zimie i lecie”, „tej zimy, tego lata” i t. d. i naodwrot używamy tych samych przypadków w kilkunastu różnych znaczeniach... Wszędzie kategoria przypadku zależną jest od ustosunkowania znaczenia i formy do zwrotu, i wobec tej zależności możemy powiedzieć, że „przypadek” (casus) jest integralną częstką zwrotu, istniejącą tylko w nim i przezeń, zwrot zaś sam istnieje o tyle tylko, o ile urzeczywistnia się w nim integracja, zwana przypadkiem. Na czym polega synkretyzm? Z mnóstwa form różnorodnych, dzięki okolicznościom sprzyjającym, w walce o byt otrzymują przewagę tylko pewne typy gramatyczne, zanikają natomiast inne. Jednocześnie zanika i dawniejszy podział pracy, zróżniczkowanie funkcji, znaczeń, oparte na budowie form, ich pochodzeniu. *Cechy odziedziczone ustępują nabytym.* Pozostałe w użyciu formy opanowują cały obszar znaczeniowy, ze wszystkimi wyrobionymi już odzieniami. Ujednastajnieniu form towarzyszyło zróżniczkowanie treści. Proces miał charakter chaotyczny (incohérent) na pozór i właśnie tę cechę uwidacznia nazwa: Synkretyzm. Spożytkowując zróżniczkowanie pojęć, ustalone już gdzieindziej, w dziedzinie filozofii, możnaby synkretyzmowi przeciwstawić, jako „pendant”, — eklektyzm. Termin ten nadawałby się do oznaczenia rozwoju stosunków składniowych, gdzie różnice formalne, wytworzone „okolicznościowo”, istniejące w języku „bezużytecznie”, w drodze naturalnego doboru zostają wyzyskane znaczeniowo. Tego rodzaju zjawiskiem

w polszczyźnie jest np. zróżniczkowanie nazw osobowych i rzeczowych w Dopełniaczach liczby poj. typu: „syna > miodu”, w Mianownikach liczby mn. typu: „panowie, chłopię, konie, wozy”. Różnica procesów synkretyzmu i eklektyzmu odpowiadałaby dwum typom integracyi o różnym stopniu spoistości (cohérence) i uświadomienia: synkretyzm to całkowanie materiału językowego, utożsamienie form gramatycznych, z równoległym wyzwoleniem energii psychicznej, obustronnem promieniowaniem znaczeń z części na całość grup językowych; dochodzi tu do rozluźnienia związku między formą i treścią; eklektyzm to zacieśnienie tego związku, skutek skojarzenia znaczeń dawniej już zróżniczkowanych z różnicami form powstałymi później i niezależnie. Ze stanowiska społecznego synkretyzm ma charakter niwelacyi demokratycznej, polegający na zatarciu pierwotnych różnic zewnętrznych i użyciu form niezależnie od ich pochodzenia; eklektyzm ma w sobie coś arystokratycznego (select),—to wybór, wyzyskanie formalnych różnic wtórnych dla subtelniejszego cieniowania znaczeń. Najczęściej wytwory synkretyzmu z niższych warstw społecznych według prawa „włoskowatości” przenikają stopniowo do środowiska wykształconego, najprzód w mowie potocznej, później i do języka książkowego; nowotwory eklektyzmu wytwarzają się zwykle najprzód w poczuciu językowym jednostek uświadomionych, w kołach wykształconych, i stąd dopiero wraz z innymi zdobyczami kultury promieniają do warstw ludowych ¹⁾. Mamy tu w zakresie składni ciekawy okaz tego, co lingwista socyolog francuski *Raoul de la*

¹⁾ Przypominam, z jednej strony, stopniowy zanik przypadków w łacinie ludowej, w angielskim, w dzisiejszej niemczyźnie, w żywej mowie warstw mniej wykształconych; z drugiej strony, niedostateczne zróżniczkowanie Dopełniaczy na a/u w polskich gwarach ludowych (w przeciwstawieniu do języka książkowego).

Grasserie stwierdził w innej dziedzinie językowej, w rozwoju znaczeń wyrazów ¹⁾).

Obydwa procesy są zarówno *f a z a m i r o z w o j u* — nie degeneracyi, w obudwu uwidocznia się zwycięstwo *m y ś l i* nad formą, lecz w pierwszym tylko, w synkretyzmie, należy upatrywać dowód *p o s t ę p u* w języku, wyzwolenia myśli z więzów „przeżytych” form gramatyki. Nasze pojęcia o „wartości” języków zmieniły się dzisiaj; dla nas — jęz. angielski o wiele więcej zbliża się *d o i d e a ł u* *d o s k o n a ł o ś c i*, niż jęz. klasyczne, lub sanskryt starożytnych Indusów ²⁾).

5. Być może, iż udało mi się przekonać słuchaczy, że zdania naszej mowy, jej zwroty, członki zdań i części mowy, czyli rodzaje wyrazów nie są czemś istniejącem stale, samo przez się; są to raczej *e w e n t u a l n i e* urzeczywistniające się skupienia pewnych czynników językowych. Ale czy godzicie się pójść za mną jeszcze dalej, uznać, że i *w y r a z y*, jako jednostki językowe wcale nie istnieją, ani w *w y m a w i a n i u*, ani w *m y ś l i* naszej, *z n a c z e n i o w o*.... Zakrawa to na przesadę, a przecież jest to... oczywiście.

A. I w rzeczy samej, pomyślmy sobie, w jakiej to postaci fonetycznej mają istnieć wyrazy? *G d z i e i k i e d y* urzeczywistnia się ten typ nieuchwytny? Wszak obok nowszego, przeważającego obecnie wymawiania daje się *z a w s z e* słyszeć i wymawianie dawniejsze, wychodzące z użycia? Wszak wymawianiu wykształconych warstw stolicy przeciwstawia się *w s z ę d z i e* wymawianie innych ognisk kultury narodu (w Niemczech, Włoszech, Polsce...)! Nawet w *ł o n i e* *r o d z i n y* niema jedności w wymawianiu, bo i tu najczęściej krzyżują się stosunki etnograficzne

¹⁾ „Des mouvements alternants des idées révélés par les mots” (Revue philosophique de M. Ribot, 1899. T. 48, Nr. 10 et 11)

²⁾ Porówn. *Jespersen, O. Progress in Language with special Reference to English*. London, 1894, str. 18 — 40, 138 — 82 i inne.

(przykładem Francya) i język dziecka jest „wypadkową” właściwości wymawiania rodziców i otoczenia... A cóż dopiero powiedzieć o tak mało zbadanych dotąd różnicach wymawiania na tle społecznem, w zależności od stanu, zawodu i t. d.? Ale dowód ostateczny, rozstrzygający przeciw wierze w istnienie wyrazów czerpiemy skądinąd ¹⁾. Rzadko używamy wyrazów oddzielnie, wyrzucając je ze związku z otoczeniem przyrodzonym, ze zwrotem lub zdaniem. W mowie zwykłej są one stale i nierozdzielnie spójone, zrosnięte z sąsiednimi członkami zdania; spowoduje to cały szereg zmian w wymawianiu, przystosowań okolicznościowych, które lingwistyka współczesna bada pod nazwą fonetyki składniowej. Zjawiska te, tak ciekawe same w sobie, nie uszły bystrości spostrzegawczej starożytnych Indusów i znane były ich gramatykom pod nazwą *sandhi*; coś niecoś z tej dziedziny przekazali nam filologowie greccy; wszyscy mają o tem niejaki wyobrażenie z „prawideł” t. zw. *liaison* we francuskim. Otóż we francuszczyźnie np. taki wyraz, jak PeTIt brzmi, stosownie do okoliczności: petit (petit enfant), p'ti (le pauvre petit!), wreszcie TI, w wymawianiu potocznem: petit-à-petit = ti-ta-pti. Pytam się więc: z którym z tych wymawiań Francuz kojarzy znaczenie „mały”? Co uznać za normę o b j e k t y w n ą? A takie wątpliwości będą wylaniały się przy rozważaniu wszechstronnem każdego „wyrazu”, w każdym języku w tym lub owym okresie jego rozwoju.

B. A jak się przedstawia rzekoma j e d n o ś ć znaczenia wyrazu? Z doświadczenia bezpośrednio wiemy, że

¹⁾ Można by także powołać się na stosunek *pisma* do żywej mowy: 1) w piśmie dawniej *nierozdzielano* nigdzie wyrazów (co dotąd przetrwało w niektórych systemach pisma); 2) wszędzie przy ustalaniu pisowni wyrazów *łącznie* lub *osobno* wylaniają się wątpliwości poważne; 3) w wielu językach, np. w włoskim, mamy przykłady zrastania się *licznych* enklityk z wyrazem akcentowanym w jednolitą całość, w mowie i piśmie.

wyrazy używają się w wielu znaczeniach, bardzo różnych. Wprawdzie wpajano w nas w szkole przekonanie, że te cieniowania znaczeń wypływają logicznie jedno z drugich, ale przekonanie to nie ma nic wspólnego z nauką. Użycie wyrazu w tem lub owem znaczeniu nie jest wnioskiem logicznym, ani etymologicznym wywodem, jest ono następstwem skojarzenia wyobrażeń na tle uczuciowem, w związku z wątkiem naszej myśli (z kontekstem urywku—przy czytaniu), w zależności od otoczenia w najszerszym zastosowaniu tego słowa. A więc wchodzą tu w grę czynniki społeczne (różnice stanu czy zawodu), towarzyskie (stopnie uprzejmości), okoliczności chwili (sytuacje) i t. d. Taki lub inny zbieg tych czynników wytwarza właśnie w danej chwili, w danym wypadku te a nie inne skojarzenie znaczeniowe. Jest ono *wypadkową* wszystkich sił, działających pod różnymi kątami w danej chwili, niby przekątną równoległoboku tych sił. To nam tłumaczy tęczową zmienność zabarwień wyrazu, nieuchwytność użycia, trudność naśladownictwa w tej dziedzinie języka, ciągle odchyłanie się znaczeń od rzekomych typów w przeróżnych kierunkach. Do tych źródeł niewyczerpanych zmienności znaczeń przyłącza się jeszcze jedno, najmniej może wyzyskane przez naukę: wyrazy zmieniają swoje znaczenie w miarę, jak zmieniają się rzeczy i stosunki, które one oznaczały: ¹⁾

¹⁾ Z zamięłowaniem i powodzeniem badania w tym względzie od lat kilku podejmował prof. R. Meringer (z Hradcu) w rocznikach „Indogermanische Forschungen” pod nagłówkiem: „Wörter und Sachen” (1904 t. 16 nst). Obecnie pod tym samym tytułem M. zakłada czasopismo specjalne. Świeżo wydany wspaniały zeszyt 1-y pisma (u Wintera w Heidelbergu) zaleca się doborom artykułów i współpracowników: „Wörter und Sachen. Kulturhistorische Zeitschrift für Sprach—und Sachforschung”, 1909, (w 8-ce 120 str., z ilustracyami). W przedmowie redaktor podnosi doniosłość tych

.... Machina, którą niemieccy majstrowie
Wymyślili i która młockarnią się zowie,
czem innym była za czasów Pana Tadeusza, czem innym jest
dzisiaj w związku z lokomobilą. Pióro stalowe, któ-
rem to piszę, jakże odmiennem jest od pióra gęsiego,
którem gryzmołem w latach dziecięcych. Pomyślmy o n a m i o t a c h szczepów dzikich, namiotach w obozie współcze-
snej armii, o namiotach na wystawie, podczas zabaw i t. p. Co
za różnica! Jak dalece znaczenie wyrazów jest wynikiem wy-
łaniającego się skojarzenia stanów psychicznych, jak dalece
ten proces wyzwala się a u t o m a t y c z n i e, można przeko-
nać się, obserwując np. jak d z i e c i, lub d z i c y nadają
nazwy przedmiotom i zjawiskom, które zajęły ich uwagę ¹⁾.
Wszędzie tu użycie wyrazu, jego znaczenie, jest ową „prze-
kątną”, ową wypadkową chwilowego zbiegu okoliczności,
towarzyszących mowie (procesowi mówienia), czyli, w myśl
poglądów *Le Dantec'a*, możemy oświadczyć: wyraz zarówno
pod względem znaczenia, jak i wymawiania, n i e i s t n i e j e
s t a l e, lecz urzeczywistnia się k a ż d o r a z o w o w danych warunkach konkretnych.

6. Toż samo, aż do znudzenia, wypadnie powtórzyć
o *formach gramatycznych*. I w tym wypadku pojęcia o rze-
czy, które wynieśliśmy ze szkoły (nie tylko średniej, nie-
stety!) są bardzo mętne. Któż nie wzrósł w tem przekona-
niu, że p i e r w i a s t k i s ą n i e z m i e n n ą częścią wy-
razów w przeciwstawieniu d o z m i e n n y c h k o ń c ó

badan dla historii kultury. Stanowisko swoje w tej sprawie *M.*
zaznaczył już dobitnie w *Indogerm. Forsch.* 1906, t. 19, str. 457:
„Ohne *Sachwissenschaft* keine *Sprachwissenschaft* mehr”.

¹⁾ Oto przykłady. Trzyletnia dziewczynka, zobaczywszy po-
raz pierwszy zdechłą myszkę, zawołała „jaki malutki p r o s i a c z e k”!... Czerwonoskórzy P. A., ujrawszy słoni, nazwali je „ol-
brzymiami... m o t y l a m i”, zapewne ze względu na ich trąby i
uszy! (Więcej spostrzeżeń tego rodzaju u A. *Chamberlain'a*: Ana-
logy in the Languages of primitive Peoples in *The American Jour-
nal of Psychology* by Stanley Hall, vol. 18. pp. 442—46. 1907).

w e k? A jednak rzecz się ma wręcz przeciwnie! Pomyślmy sobie g n i a z d o wyrazów tegoż pierwiastku, co przymiotnik SUCH-Y, a więc *susz-y-ć*, *u-sch-na-ć*, *za-sech-ł*. Co tu wspólnego? Początkowe S. Pozatem powtarzają się elementy spółgłoskowe *sz*, lub *ch*, oraz samogłoskowe *u*, lub *e* albo też wręcz brak samogłoski (zero). Kiedy myślę o *wozie* i wyrazach pokrewnych, snują mi się formy: *wóz*—*woz-y*, *woz-ie*, *zwóz*, *wożę*, *na-zważ-ać* i t. p. Gdzież owa nietykalność pierwiastku? Gdzież śladów pierwiastku szukać mamy w książkowym rozkazniku *weź* zm. dawniejszego *weźm'*, *weźmi(j)*, jak dotąd u ludu, jeżeli nie w zmiękczeniu spółgłoski narostka? (Porówn. *jać*—*imać*: *stśłow*. *wyź-ymi*).

Co pozostało z pierwiastku: 1) w ludowym polskim: *dzis-ty?* (zm. *widzisz-ty*) w przeciwstawieniu do ruskiego *вишь* (zm. *видишь*)? 2) w konjugacyi słowa „*idę*” (*idu*) u Łużyczan, — *górných*: *du*, *džeš*, *dže*; *ducy*; *dži* i *dolných*: *du*, *zoš*, *žo*; *ducy*; *ži?*

Te ostatnie skrócenia, *dži*, *ži* jako rozkazniki (*idź*), ciekawie przeciwstawiają się bezokolicznikom: *górn. ł.*, *hić*, *doln. ł.* *hiś*, gdzie pierwiastek (*i*) ocalał przynajmniej. Podobny stosunek zachodzi w czeskim jęz.: *jdu*, *jdi* (*idę*, *idź*), *jiti* (*iść*). W gwarach ludowych zachodnich Czech słyhać, jak u Łużyczan: *du*, *deš*, *de*, *dem*, *dete*, *dou*. Dolno-łuż. *žomzm.* (*i*) *du* jest nowotworem jeszcze ciekawszym: mamy tu oczywiście wynik *a n a l o g i i* proporcjonalnej: *žom*: *žoš*: *žo*=*kłažom*: *kłažoš*: *kłažo* (*kładę*, *kładziesz*, *kładzie*). W nowotworze *žom ž* przedstawia etymologicznie szczątek grupy *dž* niby p ó ł spółgłoski powstałej z pierwiastkowego *d* (*id-*). Temu zanikowi pierwiastku *i*, *id-* w jednych jęz. słowiańskich—w innych jęz. odpowiada przeszczepienie tegoż pierwiastku na b l i z k o z n a c z n y pierwiastek *š e d-*, który przybiera postać *i š e d-*. Tak się rzecz ma w serbskim (*išao*, *išla*), w mało-i biało-ruskim (*ишол*, *ишла*); naturalnie wchodziły tu w grę i inne czynniki, analogia złożonych słów (w rodzaju: *prišao*, *пришол*) i pewne właściwości wymawiania (mianow. w białoruskim). Nie oszczędzili V⁻ *i(d)* natomiast Rezjanie, plemię Słowian, zamieszkujących Włochy północne (w prowincyi Udine);

w ich mowie bezokolicznik i-ti, brzmi nie tylko i-ti-t (z powtórzoną końcówką, jak w ruskim ludowym и-ти-ть), lecz nawet TIT, niby potwór bezgłowy! A jeśli chodzi o dówód jaskrawy, jak dalece mogą się różniczkować pod względem formy i znaczenia wyrazy tego samego pierwiastku, służę przykładem: oto polski byk i polska p s z c z o ł a z jednego gniazda się wywodzą. W wyrazie byk—y rozwinęło się, jak zwykle, z dawniejszego długiego u, więc pierwiastek buk-, ten sam co w buczyć, serbskiem búkati (ryczeć) i búcati (szumieć, o morzu), czeskiem boukati, bučeti (ryczeć) a także: bykati. Tu należą też rosyjskie: бѹкашка (robaczek, brzęczący) i бѹчень (czmiel, brzęczący) obok бѹчать (brzęczyć, o pszczołach!). Jesteśmy więc na dobrej drodze! Ale i dzisiejsza pszczoła okaże się nie tak niedostępną, jeżeli uwzględnimy *pszczolę* staropolską; w dawniejszej postaci „pczeła” jest ona już w tym stadyum rozwoju, co ruskie пчелá. Stąd już blisko do starosłowiańskiego bŭčela i nasuwa się samo przez się zestawienie z pierwiastkiem buč-, buk. (jak wyżej).

Rzecz w istocie nie zmieni się, gdybyśmy nawet z prof. A. Meillet (w Paryżu) wzięli za punkt wyjścia do wyvodu nie formę bŭčela, lecz równoległą: bŭčela (z miękkim ь zm. ы) i uznali słuszność zestawienia słow. pszczoły z niem. Biene. Pozostałby fakt niewątpliwy *wtórnego* zbliżenia owej formy z rodziną wyrazów bucati, bukati, byk, na drodze słoworodu ludowego, a więc fakt utożsamienia ich w poczuciu językowym Słowian (stąd bŭč-ela). I niemieckie *Hummel*, które oznacza jednocześnie „brzęczącego” trzmieła i rozhukane zwierzę, jeśli nie pochodzi od „hummen”, „brzęczeć, huczeć”, *ryczeć* (o bydle, co jest sporne), to zostało przynajmniej do niego przystosowane przez słoworód ludowy. Jak dalece oddziałują tu skojarzenia *poza-językowe*, wpływ t. zw. onomatopei, świadczą dalsze losy wyrazu bŭčela w innych jęz. słowiańskich (porów. np. małorus. bŭdźzoła, słowiń. (dial.) žbela, czesk. včela).

Doprawdy trudno zrozumieć, jak nasi pedagodzy i gramatycy mogą pogodzić te sprzeczności: naukę o pierwiastkach *niezmiennych* i wykład o t. zw. stopniowaniu

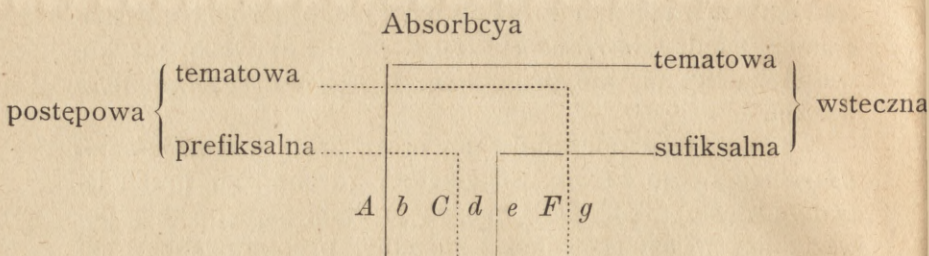
samogłosek, miękczeniu spółgłosek i wogóle o s t a ł y c h z m i a n a c h w pierwiastku. Owszem nieuchwytność formy pierwiastku wprowadzała właśnie w zakłopotanie badaczy języka, którzy wahali się i nie mogli rozstrzygnąć wątpliwości, czy należy przyjmować pierwiastki w formie w s p ó l n e j dla pewnej rodziny języków (np. indo-europejskich), czy też w formie bezpośrednio odpowiadającej poczuciu języka w tym lub innym okresie jego rozwoju.

Przekonanie o zmienności zakończeń w gramatyce polega wręcz na nieporozumieniu. We wzorach takich, jak: ród (=rut), rod-u, rodzie, lub rodzić, rodzę, ródź... mamy rzeczywiście odmiany tego samego pierwiastku; nie sposób twierdzić coś podobnego o końcówkach: to nie są warianty tych samych elementów języka, to są elementy zupełnie różne z pochodzenia, o funkcjach odmiennych. O jakiej tu może być mowa zmianie, proszę? Doprawdy wstyd zwalczać jeszcze te zastarzałe przesady naszego szkolnictwa. Jeżeli są w języku pierwiastki względnie stałe, stosunkowo mniej zmienne, to chyba właśnie końcówki. Kończówka A rzeczowników nijakich, pojętych zbiorowo, jako liczba mn. przetrwała tysiące lat, od epoki pra-indo-europejskiej, odnajdujemy ją po dziś dzień w naszej mowie. Tę końcówkę A stosowano już w owej odległej epoce przedhistorycznej, do rzeczowników żeńskich (na razie zbiorowych) w Mianowniku liczby pojedynczej; w wyrazie ŻONA ta końcówka jest tak starą bodaj, jak samo istnienie i początek szerepu indo-europejskiego.... Jakąkolwiek przyjęlibyśmy g e n e a l o g i ą kobiety-żony w mowie pra-ojców naszych, niewątpliwem pozostanie, że z pierwotnych kształtów swych nie zachowała ona nic prócz końcówki... Proszę porównać z dzisiejszym żona i staropol. žena, formę genna w jęz. starodawnych P r u s ó w, greckie doryckie γονή obok beotyckiego βανή, w języku Nordzkim kona i t. d., a przekonamy się, jak rdzeń tych wyrazów różniczkował się nie do poznania i jak wobec tego końcówka żeńska A zachowała się nieskazitelnie... Oczywiście wypadki takie zachodzą stosunkowo rzadko w rozwoju form gramatycznych. W zasadzie budowa wyrazów, właściwie tych części zdania, któ-

re noszą tę nazwę, ulega ciągłym przeobrażeniom; zmieniają się nie tylko wszystkie elementy morfologiczne same w sobie (choć w różnym stopniu), lecz—co większa, zmieniają się też ich wzajemne stosunki do siebie, czyli granice między *morfemami*. To doniosłe zjawisko językowe możnaby nazwać *przesunięciem węzłów morfologicznych wyrazu*.

Teorię tę, zapoczątkowaną przez prof. *J. Baudouina de Courtenay* i jego szkołę, rozwinąłem gdzieindziej przed laty dwudziestu kilku. Dziś teoria ta stała się chlebem powszednim w nauce, chociaż terminy, proponowane przez inicjatorów, nie przyjęły się w literaturze. Oto na czym polega ten proces. Częstki, na które rozkładamy t. zw. formy gramatyczne, nie są i nie powinny być fikcjami lingwisty; są to konstelacje rzeczywistych skojarzeń, kompleksy czynników psycho-fizjologicznych, żywo odczuwane przez osobnika mówiącego jęz. rodzimym. Polak, który wymawia formę *otworzyć*, odczuwa ją bezwiednie, mimowolnie, jako *o-tworzyć*, utożsamia ją w swem poczuciu językowym ze słowem „tworzyć”, a przecież historia języka przekonywa nas, iż *otworzyć* jest identyczne z *odwierać*, *odewrzyć*; podobnie jak wyraz „*otwór*”, jest złożony z przyimka *ot*, w dawnej postaci jego, dziś nieużywanej i pierwiastku *V⁻ wor*, tego samego, co w wyrazach *za-wora*, *roz-wora* i t. d. Co tu zaszło? Nowe rozłożenie wyrazu na części, nowa integracja morfem: częśćka prefiksu, pochłonięta, zcałkowana została przez sąsiedni pierwiastek. Przeciwnie w rosyjskiem *подбивать* zm. i obok *почевать* (*почтить*), pierwiastkowy element *t* (a raczej *d*) odczuwany jest, jako częśćka integralna przyimka *pod-*. Przyrostek *-ik* w polszczyźnie, w zetknięciu z tematową spółgłoską *n*, pochłoniął ją i różniczkował się na *-nik*, stąd np. obok *grzesz-n-ik*, „grzeszny człowiek”—*spowiednik*, „ten co go spowiada, spowiedzi słucha”... W językach indoeuropejskich pierwotne samogłoski tematowe z czasem pochłonięte zostały przez końcówki i w ten sposób wytworzył się późniejszy system deklinacji, oparty na tematach spółgłoskowych. Te ciągle przesuwanie się granic między morfemami,—powiedz-

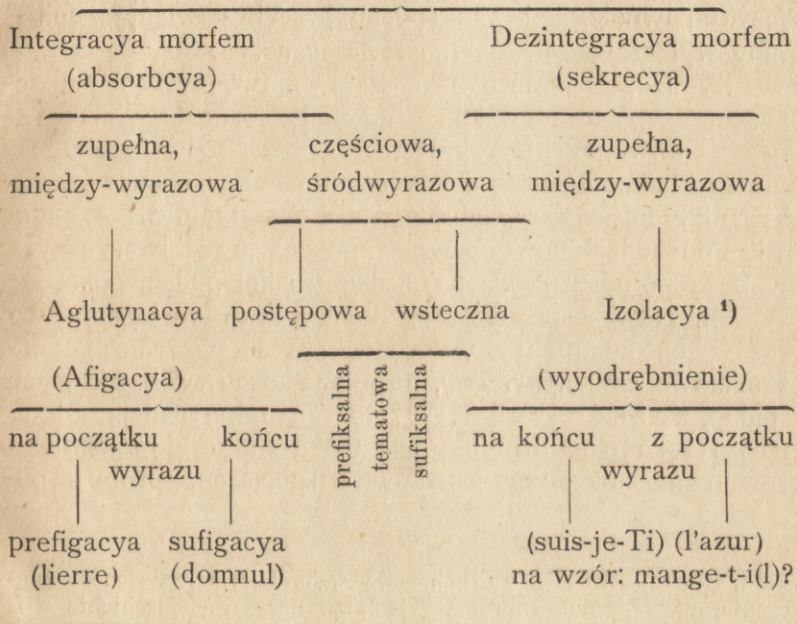
my—przesunięcie węzłów morfologicznych wyrazów można uo-
ocznąć tak oto:



Proces integracji, całkowania może zachodzić nie tylko między sąsiednimi morfemami jednego i tego samego wyrazu, lecz także między częstkami wyrazów różnych. Ma więc i morfologia swoje *sandhi*... Kiedy Polacy i wogóle Słowianie, zaimki: „jego, jemu, jím...” w połączeniu z przyimkami wymawiają: „do niego, ku niemu, z nim”, to przyczyna tego zjawiska leży daleko głębiej, niż przypuszczali zwykle gramatycy. Trzeba było bystrości spostrzegawczej i daru kombinacji takiego *Baudouina de Courtenay*, ażeby wykryć, że owa pozorna *narośl n-* jest szczątkiem, końcówką spółgłoską przyimka *s* (później=*z*) w jego pierwotnej postaci, a więc *są-*, *sūn-*, *sū* (*są-siad*, *stsl. сънѣдъ*, *śniedz*, *śniadać*, obok *zjadać*...), że przeszczepiona została na ślad o w c z o „analogicznie” na inne wypadki użycia zaimka z przyimkiem (do niego, za nim i t. p.). Dawniej liczba mnoga imion w języku francuskim kończyła się na *S* (jak dotąd w pisowni), obecnie zaczyna się od *Z*, *les yeux*, à quatre (z) *yeux*, *des enfants*: system sufiksalny, zachowany szczątkowo z epoki łacińskiej, przeraadza się w oczach naszych w system innego typu zupełnie—prefiksalny. Języki romańskie dostarczają nam ciekawych przykładów już to wchłonięcia „przedimka” przez rzeczownik w rodzaju francuskiego *lierre*, bluszcz, zm. *l’hierre*, z łac. *hedera*, pod wpływem *lier* łączyć, opasywać...; już też pochłonięcia początkowej spółgłoski rzeczownika przez „przedimek” np. w wyrazie *lazur*: *l’azur*, *il azzurro* zm. *il lazuro*. Na pół-

wyspie Bałkańskim zarówno Rumuni, jak i sąsiedzi ich Bułgarzy przyłączają do rzeczowników następujące po nich zaimeki wskazujące w charakterze „przedimka” (właściwie bułg. „poimka”): rum. domnul, omul=dominus-ille, homo-ille... **женѧ-та дѧтѧ-то...** Wszędzie tu w oczach naszych dokonywa się proces a b s o r b c y i, afigacji przedimka, w przeciwstawieniu do procesów s e k r e c y i, wydzielenia przedimka z „organizmu” wyrazowego. Zjawiska te możnaby schematycznie przedstawić tak oto:

Przesunięcie węzłów morfologicznych wyrazu.



¹⁾ *K. Brugmann*, mówiąc niedawno o tem zjawisku z okoliczności greckiego ὁ ὄνος zm. ὁ ὄνος = a(s)inus—waha się w wyborze nazwy między: „falsche Abstraction des Artikels” i „Substraction eines vermeintlichen Artikels”. („Indogemanische Forschungen”, 1907/8, t. 22, str. 201 i 409, Sachregister). Mojem zdaniem termin *izolacji*, w przeciwstawieniu do *aglutynacji*, nadaje się lepiej do uogólnie-

Tablica powyższa nasuwa jeszcze następujące uwagi:

1. Jak zawsze, tak i tutaj, różnica między integracją i dezintegracją, absorbcją i sekrecją i t. d. nie wynika obiektywnie z istoty rzeczy, lecz zależy od subiektywnego punktu widzenia, z którego rozpatrujemy zjawisko: włoskie *il azzurro* zm. *il lazzurro* jest sekrecją ze stanowiska wyrazu *lazzurro*, absorbcją ze stanowiska „przedimka” *il* i t. p. Są to więc tylko dwie strony jednego i tego samego zjawiska.

2. Procesy *aglutynacyi* (zrastania się wyrazów) i *izolacyi*, wyodrębniania się wyrazów i ich części, zachodzą w języku równolegle i nie sposób przeciwstawiać je sobie, niby wyłączające się typy morfologiczne.

3. Dokonywające się ciągle w mowie, w poczuciu językowym, przesuwanie granic między morfemami powinno służyć przestrożą przeciw zbyt pochopnemu rozkładaniu form gramatycznych na „zrozumiałe” szczątki zanikłych wyrazów lub pierwiastków. Domysły o budowie i pochodzeniu wyrazów w epokach przedhistorycznych wobec tego opierają się na bardzo kruchej podstawie...

4. Nowsze próby w językoznawstwie rozłożenia wyrazów na kompleksy (Wortstück) więcej niż jednozgłoskowe, czyli t. zw. *bazy*, po polsku „osnowy”¹⁾, z których jedno, zasadnicze (Wurzelbasen), odpowiadają rdzeniom i pniom, drugie podrzędne, inaczej *formanty*, są równo znacznikami przyrostków i ich połączeń,—próby te, po-

nia zjawiska. Stosuję go tu zresztą w bardziej ograniczonym znaczeniu, niż *H. Paul* w swoich *Prinzipien der Sprachgeschichte*, 4-te Auflage. Halle, Niemeyer. 1909, str. 189—216. 329—51.

¹⁾ W ten sposób, jak sędzę, dałby się spożytkować termin prof. *Ad. Ant. Kryńskiego* „osnowa” dla oddania nowego w nauce pojęcia *basis*: dla zastąpienia zaś mniej szczęśliwych „tematów” mielibyśmy do wyboru swojskie, a dosadne nazwy *H. Suchckiego*: *pień* lub *trzon* z udatnemi pochodnikami: *pienny*, *trzonowy*. *Radix*, *radicalis*—możnaby tłumaczyć: *Rdzeń*, rdzenny, zachowując „*pierwiastek*” na oznaczenie niedziałek morfologicznych wogóle, czyli morfem.

wiadam, doskonale nadają się do stwierdzenia w z g l ę d n o ś c i granic między morfemami. Teorya t. zw. określników rdzennych (Wurzeldeterminative) byłaby tylko szczegółowym wypadkiem wyjaśnienia początku nowej osnowy (basis) zapomocą *absorbeyi* części formantu przez rdzeń.

Zachodzące tu stosunki—ze stanowiska względnej rzeczywistości (w duchu Le Dantec'a) — można sobie tak wyobrazić: wyraz *człow-iecz-eń-stwo* rozkłada się w p o c z u c i u j ę z y k o w e m na dwie części, dwie osnowy (bases): 1) zasadniczą, rdzenną (Wurzelbasis) *człowiecz-*, skojarzoną bez pośrednio „z tem, co jest *człowiecz-e*”, pośrednio z tem, „co właściwe jest *człowiek-owi*”... 2) drugorzędną, t w ó r c z ą: zrostkową (Formansbase) *-eństwo*, taż samą, co w *rodzeństwo* *człowieczeństwo* jest takimż „zbiorowiskiem” ludzi (jedno, stek typu: „*człowiek*”), jak *rodzeństwo* jest zbiorem członków *rodz-iny*... W słowach pochodnych wzoru: bełkotać, gruchotać, grzechotać, turkotać... łaskotać, migotać..., o ile chodzi mówiącemu o tę, a nie inną czynność (w szczególności), jako osnowę (Wurzelbasis), odczuwać będzie początkowe głoski bełkot-, turkot, grzechot i t. d.; o ile zaś chodzi mu o zaznaczenie typu czynności (wogóle), jako osnowę zrostkową (Formansbase), będzie on odczuwał końcowe głoski - *otać*. W ten sposób stwierdzamy dwojaki rozkład tych słów na morfologiczne pierwiastki:

gruch	ot	ać	mig	ot	ać
-------	----	----	-----	----	----

To znaczy: skojarzeniom *gruchot-*, *migot-* towarzyszy d y s s o c y a c y a końcówki *ać* i naodwrot: *assocyacja-otać* z całości dyssocjuje, w y o d r ę b n i a element rdzeny *gruch-*, *mig-*, ten sam, co w słowach *gruch-nać*, *mig-ać* i t. p.

Nie ujdzie zapewne bacznej uwagi czytelnika, o ile ten sposób pojmowania zjawisk jest bliższy prawdy p s y c h o l o g i c z n e j, niż czysto a b s t r a k c y j n e s e k c y e wyrazów, przyjmowane przez K. Brugmanna (Grudriss d. vergl. Gram., II², 1. 4—15).

5. Zasada przesunięcia węzłów morfologicznych może być spożytkowana w obronie r ó w n o u p r a w n i e n i a teorii *adaptacji* z teorią *aglutynacji* w tworzeniu się języków. Naturalnie—adaptacji pojętej s z e r o k o, jako zasadnicze prawo rozwoju w życiu organizmu, społeczeństwa, języka, nie zaś w ciasnych szrankach poglądów etymologicznych sanskrycisty A. Ludwiga ¹⁾.

6. Przesuwanie się węzłów morfologicznych zależy po części od czynników *fonetycznych*, wyników upodobnienia spółgłosek, zmian w rozkładzie zwrotów na zgłoski wymowy, po części od wpływów *analogii*, skojarzeń ze wspomnieniami form, jakościowo podobnych, lecz różnych rozmiarami, t. j. ilościowo.

7. Zjawiska językowe, o które tu chodzi, przedstawiają pewne podobieństwo do procesów absorbcyi i sekrecyi w biologii, zwłaszcza zaś przypominają prawo *akustyki* o przesunięciu węzłów akustycznych fali głosowej pod wpływem zmiany długości fal następnych, t. zw. zmiany konkameracyi. Właśnie to podobieństwo obudwu zjawisk podsunęło mi dla teorii nazwę: „p r z e s u n i ę c i a w ę z ł ó w m o r f o l o g i c z n y c h w y r a z u”...

W stosunku do poglądów Le Dantec’a, teoria ta stwierdza i zaznacza raz jeszcze chwiejność granic między morfemami: *morfemy* nie są wprawdzie fikcją lingwisty, dowolnie zmienną; lecz nie są także rzeczywistością stałą; jak zawsze i wszędzie

¹⁾ Agglutination oder Adaptation, eine sprachwissenschaftliche Streitfrage, Prag. 1873. Dziś zagadnienie to wraca na porządek dzienny z powodu głośnej rozprawy H. Oertela i E. Morisa: An examination of the theories regarding the nature and origine of Indo European inflection (Harvard Studies in classical philology. XVI. 63 — 120). W braku rozprawy w oryginale, polecić można sprawozdania pióra: Meillet’a w Revuecritique, 1906. Nr. 20 p. 351. Schwytzera, w Berliner philologische Wochenschrift. 1907 Nr. 28. S. 878—81. Kretschmera w Archiv für gesamte Psychologie, XI. Bd. 180—86.

w języku, mamy tu przed sobą *proces stawania się*, który urzeczywistnia się każdorazowo, względnie do warunków równowagi chwilowej naszych skojarzeń językowych. Odpowiada im pewien stan podniecenia mózgu, który odczuwamy rzeczywiście, choć niejasno: jest to t. zw. poczucie językowe, które każdy może sprawdzić na sobie w mowie ojczystej... I w rzeczy samej, czyż nie odczuwacie, jako *z r ó ż n i c z k o w a n y c h* językowo, częstek tych wyrazów: mow-a ojc-ów, mow-a ojc-zyst-a, ojc-z-yzna, ojc-ow-izna, dziedz-ina ojc-owa?!

* * *

Tak więc nie znaleźliśmy dotychczas nigdzie stałych jednostek językowych. Naprawdę szukaliśmy ich w zdaniu, lub w zwrocie, w wyrazach, lub w ich częściach składowych. Czyżby taką niedziałką językową nie były dźwięki naszej mowy? I to nie! Pod względem akustycznym dźwięki naszej mowy, samogłoski czy spółgłoski, są tylko *n i e r ó w n o m i e r n ą* kombinacją tonów i szmerów, t. j. mniej lub więcej peryodycznych wahań elastycznego środowiska—i co zatem idzie—takichże ciśnień na nasz organ słuchu, którym z kolei odpowiadać będą zmiany w inercyjności mózgu i cała skala subiektywnych *w r a ż e ń* słuchowych w świecie psychicznym!.. Dość przypomnieć tu *n i e s k o ń c z o n e* modulacje głosek, tak jak je słyszymy w różnych językach i w różnych warunkach wymawiania. Wiemy dziś wszyscy, że niema ścisłych granic między samogłoską i spółgłoską, a teoria *sonantów* określa charakter dźwięków mowy podług roli, jaką spełniają w zgłosce, a więc *f u n k c y o n a l n i e*. Przysłowiowe zdanie czeskie: „*strč prst skrz krk*” pokazuje, jak dźwięk spółgłoskowy, consonans, staje się sonantem w odpowiednich warunkach otoczenia.

Pod względem fizyologicznym głoski naszej mowy są produktem pracy mięśniowej, czynności niesłychanie skomplikowanych, coraz to inaczej kombinujących się ze sobą. Wymówienie najprostszych na pozór wyrazów

szczebiotu dziecinnego—mama, baba, papa—wymaga udziału setki przeróżnych czynników artykułacyjnych. Najmniejsza zmiana w kombinacyi tych czynników, ba nawet ich przyspieszenie lub opóźnienie, da nam już inny rezultat akustyczny: zm. połączenia *nr* usłyszymy *ndr* np. w ludowym polskim wymawianiu Hen-d-ryk, zm. *będe-mde*—w mowie braci Kaszubów i t. p.

Niezmiernie chwiejną rzeczą są również granice między *zgóskami*. Wyrazy — z podwójną spółgłoską (geminata) między samogłoskami—typu EMMA wymawiają się we współczesnych językach europejskich pięciorako: z wyraźnem podwójnem m, EM-MA, z długą lub krótką spółgłoską M, należącą jednocześnie do obudwu zgłosek, lub też do jednej tylko, następnej: E-M-A, E-m-A, E-MA, E-mA. Nie sposób tłumaczyć te rzeczy tutaj. Mogę tylko odesłać czytelnika do dzieł specjalnych.

Z konieczności wypada przerwać już wykład, choć wątek myśli snuje się jeszcze po głowie i tyle uwag ciśnie się pod pióro.¹⁾ Przedmiot jest tak bogaty, tak obszerny, jak i samo językoznawstwo. Sądzę jednak, że *faktów* przytoczonych powyżej wystarczy, ażeby stwierdzić, jak dalece poglądy *Le Dantec'a* o względnej rzeczywistości zjawisk dadzą się zastosować do mowy ludzkiej i znajdują w języku nowe oparcie.

Karol Appel.



¹⁾ Ostatnią część wykładu, pominiętą tutaj, streszczają „Sprawozdania Towarzystwa Naukowego Warszawskiego”, 1908, r. I. z. 6/7 str. 38. Zamierzam opracować ją później, osobno...

Przypiski bibliograficzne.

²⁾ J. Baudouin de Courtenay w dodatku do nr. 238 „Nowin” (A. Świętochowskiego) z r. 1880.

³⁾ H. Spencer. Premiers principes, trad. Cazelles. Paris-Alcan. 1871. cz. II, rozd. 11—23, zwłaszcza str. 424.

⁴⁾ A. Renda. La dissociazione psicologica. Torino, Fratelli Bocca. 1905, str. 9—40.

⁵⁾ Jedyna monografia o tym przedmiocie to praca: M. Grammonta, Dissimilation consonantique dans les langues indoeuropéennes et les langues romanes. Dijon, Darantière, 1895. 8° 215—rzecz o szerokim istotnie widnokręgu. Autor czyni tu oryginalną próbę ustalenia ogólnych praw głosowych fonetycznych, tak, jak o tem marzył u nas przedwcześnie zgasły dla nauki M. Kruszewski († 1887), uczeń prof. Baudouina de Courtenay. Ob. tegoż: Szkice językoznawcze, t. I. Warszawa, Wende, 1904, str. 96, 123 i in.

⁶⁾ Paris, Alcan. 1899, 8° 492.

⁷⁾ Bibliothèque de la Faculté des lettres de Paris. Nr. 2. Paris, Alcan. 1896, 8° 78.

⁸⁾ Le Dantec. Philosophie du XX siècle: De l'homme à la science (1907), Science et Conscience (1908). Paris. Flammarion.

⁹⁾ A. Meillet. Les dialectes indo-européens. (Collection linguistique p. p. la Société de Linguistique de Paris) t. I. Paris, Champion, 1908, 8° 138. We wstępie wskazówki co do literatury przedmiotu, str. 1—15. Autor pominął mimowolnie jednego z inicjatorów tej kwestyi, prof. A. Bogorodickiego w Kazaniu. ze szkoły prof. Baudouina de Courtenay. [Ob. W. A. Bogorodickij, Iz cztienij po sravnitelnoj grammatikie, Kazań, 1900, zeszyt 3-ci].

¹⁰ i ¹¹⁾ Ottmar Dittrich. Die sprachwissenschaftliche Definition der Begriffe „Satz” u. „Syntax” (Wundt's Philosophische Studien, t. 19, str. 93—127, 1902).

Tegoż Grundzüge der Sprachpsychologie, I Bd. Einleitung etc Halle, Niemeyer, 1903, str. 41—53 i in.

¹²⁾ Sèchehay e. Programme et méthodes de la linguistique théorique. Psychologie du langage. Paris, Champion. 1908. 8°, str. 163—175.

¹³⁾ Jac. van Ginneken. Principes de Linguistique psychologique. Essai de synthèse. Paris, Rivière, 1907, 8°, str. 264—86

¹⁴⁾ Rozwadowski. Semazyologia czyli nauka o rozwoju znaczeń wyrazów. (Odbitka z IX r. „Eos”). Lwów. 1903, str. 70—95. Opracowanie niemieckie p. t. Wortbildung u. Wortbedeutung, eine Untersuchung ihrer Grundsätze. Heidelberg. Winter, 1904, 8°, 109.

Vossler K. Sprache als Schöpfung und Entwicklung. Eine theoretische Untersuchung etc. Heidelberg, Winter, 1905, str 108—16.

¹⁵⁾ J. van Ginneken, l. c. 50—240.

¹⁶⁾ Kiedy wygłaszałem ten wykład (z pamięci) i później, gdy przygotowywałem go do druku, nie znalazłem jeszcze pracy dr. Pietro Eusebiotti, Elementi di Fasiopsicologia (Reale Academia delle Scienze di Torino), Torino, Clausen, 1908. 4^o 148,—z którą tyle punktów styczności mnie łączy. (7/II 1909).

K. Appel.



